

## Towarzystwo Kredytowo-Ziemskie we Lwowie TKZ

Stanisław Longchamps de Berier

### Wspomnienia

Lwów 1939

Ojciec, który po krachu finansowym stracił cały majątek był zawiedziony i bez dawnej energii życiowej. Nie wierzył już w siebie i chciał bym ja jak najprędzej zaczął zarabiać i równocześnie studiować prawo. Wówczas pod względem finansowym było nam ciężko. Zgadałem się z tymi koncepcjami ojca, a świadomość, że będę miał własne dochody była kusząca.

Ojciec miał dużo życzliwych znajomych w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim we Lwowie i tam postanowił mnie umieścić. TKZ było jedną z poważniejszych i solidnych instytucji bankowych. Powstało w połowie XIX wieku za czasów austriackich. Ziemianie z ówczesnej Galicji tj. Małopolski z Czerniowcami, postanowili utworzyć bank, który by udzielał pożyczek zabezpieczonych na majątkach ziemskich, celem podniesienia gospodarki rolnej. Bank wystawiał listy zastawne wraz z półrocznymi kuponami i sprzedawał je chętnym, którzy w ten sposób lokowali swe kapitały. Władzami TKZ było Walne Zebranie delegatów ziemian, które wyznaczało Dyрекcję. TKZ miało 5 kamienic zgrupowanych razem w kształcie litery "u" przy ul. Szajnochy, Kopernika i Legionów. Na kamienicach tych był zabezpieczony własny fundusz emerytalny urzędników TKZ. Dochód z tych kamienic był poważny bo mieściło się tam szereg sklepów, kino "Palace" Bank Związku Spółek Zarobkowych i szereg innych biur.

Miałem od sierpnia 1927 r. rozpocząć pracę jako praktykant. W lipcu poszedłem przedstawić się Dyrekcji tj. prezesowi Franciszkowi Żabie, v-prezesowi Kazimierzowi Przybysławskiemu i dyr. Adamowi Głazewskiemu. 1 Sierpnia zostałem przedstawiony wszystkim urzędnikom. Zacząłem pracę w dziale Likwidatury gdzie naczelnikiem był Witold Teodorowicz, który odniósł się do mnie bardzo życzliwie i nauczył mnie podstawowych rzeczy jak liczenia, stornowania i pisania. Początkowo mają płaca miesięczna wynosiła 60 zł, by po miesiącu dojść do 90 zł, a po 3 miesiącach już miałem około 200 zł. Pomocnicą Teodorowicza była panna bar. Iza Lidl, która wówczas miała przeszło 30 lat. Znała mnie od dawna gdyż bywała na naszych fajfach i traktowała mnie dalej jak dziecko. Pierwszą moją funkcją było liczenie i układanie w setki kuponów od listów zastawnych, zależnie od rodzaju, wartości i według kolejności numerów. Następnie zapisywanie w księgach w odpowiednich miejscach daty ich realizacji. Robiło się to wszystko piórem, przewracając wciąż kartki w księgach trzeba było używać bibularza, bo musiało to być zakontowane czysto i wyraźnie w odpowiednich kratkach. Kupony musiały być każdego dnia zakontowane, niezależnie od ich ilości i dlatego czasami trzeba było przychodzić po południu. Mnie to nie bardzo odpowiadało i szukałem sposobu by prace te przyspieszyć. Z lat dziecinnych miałem zabawkę drukarenkę domową. Wyciąłem odpowiedni otwór, jak pieczętka z uchwytem, tak by mieściła się w kratce 1 cm. Tam umieszczałem gumowe cyferki z odpowiednią datą. Nic nikomu nie mówiąc, zakontowałem parę tysięcy kuponów w ¼ czasu tego co piórem i atramentem, a przy tym wyraźniej i znacznie czyściej. Gdy kontrola to ujawniła zrobił się huczek. Starsi panowie nie chcieli się na to zgodzić. Swoją drogą, nie wiem dlaczego? Chyba z przyzwyczajenia! Nawet korespondencję załatwiano pisemnie a nie maszynowo. Szczególną opozycję stawiał p. Borkowski. Starszy pan około 60-cio letni, zawsze zachowujący się bardzo poważnie i godnie. Stwierdził, że to jest niedopuszczalne bo przepisy tego nie przewidują. Udało mi się

przekonać do mego pomysłu Teodorowicz, nie mówiąc o Izie, która była nim zachwycona, bo bardzo nie lubiła tego kontowania. Sprawa oparła się o v-prezesa Przybysławskiego. Przyszedł sam do ksiąg, oglądał mój przyrząd, ale nic nie powiedział. Za kilka dni Teodorowicz kazał wykonać kilka takich pieczętek i już wszyscy tak kontowali. Ja zaś krótko potem dostałem podwyżkę. Jedynie p. Borkowski od tego czasu odnosił się do mnie zimno i z rezerwą.

Był taki przepis, że większe sumy pieniężne podejmowane w bankach musiały odbywać się w asyście urzędnika i woźnego. Obarczano mnie tą funkcją. Chodziłem zwykle ze starszym woźnym Onufrym Kosyczynem, przeważnie do Powszechnego Banku Związkowego, gdzie podejmowaliśmy po kilkadziesiąt tysięcy zwykle dolarów. Wchodziliśmy do podziemia gdzie był skarbiec. Tam odbywało się liczenie pieniędzy. Onufry proponował mi zwykle bym sobie siedział, a on wszystko przeliczy. Robił to szybko i sprawnie. Długo trwało nim nauczyłem się tak liczyć jak on. Raz w Galicyjskiej Kasie oszczędności miałem zabawną historię. Kasjerem był tam żwawy siwy staruszek p. Osiadacz. Razem z Onufrym przeliczyliśmy podjęte dolary. W trakcie przeliczania pliku 10-cio dolarówek stwierdziłem, że jest 101 banknotów a więc o 10 dolarów więcej jak powinno być. Byłem autorytatywny i przekonany o swej nieomyślności. Kilkakrotnie stwierdziłem, że tak jest na pewno. Poszedłem więc do kasjera i powiedziałem mu o tym. Spokojnie stwierdził, że jest to niemożliwe. Starałem się go jednak przekonać, że kilkakrotnie liczyłem. Wówczas, oburzony, podniesionym głosem powiedział: "Ja, Osiadacz, nigdy się nie mylę, może pan sobie wziąć jeżeli uważa, że jest więcej". Skończyło się na tym, że z Onufrym podzieliliśmy się 10-cioma dolarami.

TKZ było instytucją w której nic nie zmieniono od połowy XIX wieku, tj. od chwili powstania. Tok, sposób urzędowania i działania obwarowano wówczas szeregiem przepisów i regulaminów, bardzo ściśle i dokładnie. Jak ja zacząłem tam pracować dalej trzymano się tych przepisów ani na jotę od nich nie odstępując. W TKZ nie używano maszyn do pisania i liczenia mimo coraz powszechniejszego ich stosowania, tylko pióra i liczydła. Działo się to tak dlatego, że kilku, zresztą zacnych i porządných ludzi ale bardzo leciwych, nie chciało nawet słyszeć o żadnych zmianach i nie wyobrażało sobie, że może być coś lepszego jak to co wymyślono kilkadziesiąt lat temu. Niemal wszyscy urzędnicy byli w wieku około 60-ciu lat. Dziś ludzie w tym wieku nie chcą być starcami, wtedy, jeśli chodzi o sposób myślenia, byli to ludzie skostniałi i uparci. Do wyjątków należał mój szef Witold Teodorowicz, ormianin, brat stryjeczny arcybiskupa ormiańsko - katolickiego Teodorowicza. Był to zacności człowiek, pracowity i prężny. Szczęście, że to on był moim bezpośrednim szefem, bo dzięki niemu nauczyłem się jak należy pracować. Sądzę, że gdybym dostał się do innego działu i miał innego szefa, to nie wiem czy bym się czegoś nauczył.

Urzędnicy TKZ rekrutowali się przeważnie z podupadłych ziemian lub ludzi w jakiś sposób z nimi związanych i przez nich protegowanych. Pracą nie byli przeciążeni i nie wymagało się od nich ani inwencji ani prężności bo wszystko było uregulowane przez regulaminy. Każdy urzędnik musiał je znać. Z ich znajomości zdawano egzaminy przed komisją. Postaram się opisać niektórych z urzędników, bo były wśród nich typy wtedy już zanikające a dziś na pewno nie do spotkania. Zacznę od Dyrekcji, którą zastałem w 1927 r. rozpoczynając pracę.

Prezes Franciszek Żaba właściciel resztówki w Zbylitowskiej Górze w woj. krakowskim. Tam wraz z żoną miał stałe miejsce zamieszkania. We Lwowie miał mieszkanie nad biurami TKZ przy ul. Kopernika 4. Postawny, 1,85 wzrostu, elegancki, opanowany, o manierach lorda angielskiego. Zwykle ubrany w granatowy garnitur w białe paski z czerwonym goździkiem w butonierce. Mówił lekko przez nos. Był tylko od reprezentacji. Pokazywał się tylko raz w ciągu dnia na hali, ale przeważnie nie rozmawiał, a odpowiadał z godnością lekkim ukłonem na powitania urzędników. Interesował się jedynie kursami giełdowymi. Na dorocznych, walnych, zgromadzeniach delegatów, też nie tracił swego stylu, wdając się w krótkie rozmowy jedynie z godniejszymi osobami. Niemal codziennie chodził na dancings do

kawiarni "De la Paix" na ul. Legionów blisko TKZ. Był to dancing ładnie urządzone, uczęszczany przez bogatszą burżuazję, przeważnie żydowską. W innych lokalach go nie spotykano. W latach 30-tych, gdy ziemiaństwowo zdało sobie sprawę ze swego trudnego położenia – licytacje i masowe parcelacje dla oddłużenia majątków - i w związku z tym należy TKZ zreformować, Żaba ustąpił.

V-prezesem był Kazimierz Przybysławski, stary kawaler, właściciel majątku Uniż w po. Buczacz nad Dniestrem. Wysoki, 1,95 wzrostu, tęgi, o dużej głowie osadzonej wprost na korpusie bez szyi. Jak się podenerwował to czerwieniał i zachodziła obawa, że trafi go apopleksja. On najwięcej zajmował się sprawami TKZ na co dzień. Był bardzo autorytatywny, autokrata, nie liczył się z niczym zdaniem. Lubił dobrze zjeść i woźny TKZ Matluk, który właściwie był kucharzem a nie woźnym, przyrządzał mu jedzenie. Był opiekunem mego przyjaciela Józka Bochdana i jego rodzeństwa. Józek zawsze odczuwał respekt dla niego, co udzielało się i mnie. Musiał ustąpić gdy prezesem został Ludwik hr. Dunin – Sulgostowski, z którym nie umiał się zgodzić. Miał okropną śmierć. W 1939 r. gdy sowieci weszli do Uniża, przy zatrzymaniu, gdy nie mógł szybciej iść, wzięli go pod ręce zmuszając do biegu. Po kilkudziesięciu metrach serce nie wytrzymało i tak zmarł.

Dyrektorem był Adam Głazewski, który wraz z rodziną mieszkał we Lwowie przy ul. Potockiego. Miał majątek Chmielową k/Zaleszczyk, gdzie świetnie udawały się winogrona. Był niedużego wzrostu, z bródką, rześki i prosto się trzymający. Jak dorósł jego syn Gustaw to gospodarował sam w Chmielowej, a ojciec już na stałe przebywał we Lwowie. Jego syn Ignac studiował prawo i był urzędnikiem Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie. Dosyć blisko z nim żyłem. Często graliśmy w bridża. Pojechaliśmy razem motocyklami do Poznania na Powszechną Wystawę Krajową. Między Krakowem a Tarnowem zderzył się z furmanką. Dyszel uderzył go w zęby. Mocno krwawił. Krew nie dała się zatamować. Okazało się, że cierpi na hemofilię. Ponieważ było to niedaleko Dragini odwiozłem go tam do jego krewnych Bzowskich. Dyr. Głazewski by utrzymać się w dobrej formie oczyszczał chodnik ze śniegu przed willą. Po 1939 r. pozostał we Lwowie i tam w kilka lat po wojnie zmarł.

Naczelnik Borkowski, zawsze bardzo poważny i nieprzystępny, nosił przystryżoną brodę. Poza poważną miną i godną postawą niczym szczególnym się nie odznaczał, a w sprawie kontowania kuponów drukiem okazał się mało wyrozumiały. Wkrótce przeszedł na emeryturę.

Księgowym był Olszewski, starszy pan, bez zębów i już trochę zdziecinniały. Był ojcem mego szwagra Stasia. Podczas zliczania półgłosem kolumn cyfr miał zwyczaj mówić "spuszczam zero". Było to przedmiotem kpin jednego z urzędników - Siemieńskiego, który wpadał mu w słowo i również półgłosem mówił "panie spuść pan spodnie". Olszewski był zacnym staruszką, też wkrótce przeszedł na emeryturę.

Kierownikiem działu hipotecznego był Szczęsny Jełowicki, stryj Oli Bochdanowej. Miał kilkupokojowe mieszkanie przy ul. Potockiego. Stary kawaler lubiący dobrze zjeść. Miał starą kucharkę i młodą ładną służącą Maryńkę. Kilkakrotnie byłem u niego na obiedzie. Niemal codziennie urządzał śniadania w biurze. Maryńka przynosiła kosz, w którym zawsze były jakieś specjały. W południe około pierwszej, na hali za szafami Iza Lidl rozpakowywała koszyk, a Jaś Siemieński odkorkowywał flaszki. Byłem przez niego lubiany i zapraszany na te śniadania. Czasami byłem zajęty i nie mogłem się od razu stawić. Jełowicki niecierpliwił się i wołał bym prędzej przychodził. Pytał co takiego mam do roboty. Zamykałem tzw. "sztracę" zestawienie wydatków. Mówiłem, że nie mogę przyjść bo mi się sztraca nie zgadza. Na to on pytał o ile. Gdy wyjaśniałem, że o kilkadziesiąt groszy, wołał z daleka "zostaw Stasiu tę sztracę, masz tu tych kilkadziesiąt groszy". Miał humor i pogodne usposobienie mimo że był ułomny. Zgięty w pół, jedna noga stale ugięta w kolanie. Poruszał się z trudnością i codziennie przyjeżdżał i odjeżdżał taksówką. Rodzice chcieli go koniecznie ożenić, ale on nie czuł do tego wielkiej

ochoty. Nie śmiał jednak wprost przeciwstawiać się ich woli. Znalaziono odpowiednią pannę i rodzice zaprowadzili go do jej domu. Kazali mu pozostać w pokoju i gdy panna wejdzie miał się jej oświadczyć. Odbywało się to na I piętrze. Gdy usłyszał kroki panny, nie wytrzymał i wyskoczył przez okno. Tak został kaleką. Miał różne nieszkodliwe dziwactwa. N.p. uważał, że ziemniaki są jedynie dobre w Zubrzy wiosce pod Lwowem i tam Maryńka musiała się od czasu do czasu wyprawiać po parę kilo. Zaliczam go do galerii oryginałów rodem z XIX wieku.

Kontroler Goertler - mała, wysuszona figura, zawsze śmiertelnie poważny i zaaferowany. Ciągłe tak samo ubrany w ciemne ubranko, kołnierzyk twardy t.zw. Vatermoerder. Miał między innymi pieczę nad skarbcem. Nie brał udziału w śniadaniach i jakby ich nie pochwalał, ale nie śmiał się wprost sprzeciwić. Musiał cierpieć na wątrobę lub śledzionę. Wkrótce przeszedł na emeryturę.

Jan Smutny – wysoki, przystojny, siwy, schludny, zawsze pogodny i podkręcający wąsa. Nie miał dużo do roboty. Siedział przy wysokim pulpicie i prowadził jakieś zestawienia. Obchodził jubileusz swej 50-letniej pracy w TKZ.

Jan Kreczmer – stary kawaler. Jak zostałem zaangażowany do pracy, moje biurko ustawiono na hali naprzeciwko biurka Kreczmera. Prowadził dziennik podawczy. Tak naprawdę to roboty miał na godzinę. Jak przychodził rano, witał się ze wszystkimi, następnie siadał przy biurku, spokojnie nie spiesząc się otwierał szuflady, wyciągał książki i papiery, ustawiał pieczętkę na odpowiednią datę, przeczesywał swego jeża na głowie i zabierał się do robienia maszynką papierosów. Mieszał na wielkim arkuszu papieru różne tytonie, otwierał pudełko z tutkami i przystępował do pracy. Maszynka to rurka blaszana długości 15 cm, przecięta wzdłuż, tak że po otwarciu nakładało się tytoń, a po zamknięciu, jeden koniec wkładało się do tutki a z drugiego końca popychało się patyczkiem. Po czym, wystający tytoń obcinało się nożyczkami i gotowe papierosy składano do pudełek po tutkach "Morwitan". W taki sam sposób, moja matka robiła papierosy dla ojca. Kreczmer robił to z powagą i dokładnie. Kilkakrotnie, w czasie tej pracy pochylał się za pulpitem biurka, a następnie szybko wstrząsał głową do góry. Początkowo nie mogłem się połapać o co chodzi. Po kilku dniach zrozumiałem, że w ten sposób wypijał dwa lub trzy kieliszki wódki. Około 10 kończył robotę z papierosami, przeglądał pocztę, którą przyniósł listonosz i siedł na pogawędkę. Jego pasją były wyścigi konne. Zresztą wyścigami z równą namiętnością zajmowali się i inni pracownicy. Tworzyli totalizator, a nasz kasjer Aleksander hr. Łoś był jego kierownikiem. Wyścigi odbywały się we Lwowie w sezonie wiosennym i jesiennym. Urządzało je Małopolskie Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni, a biura mieściły się u nas na parterze. Byliśmy doskonale zorientowani w programie wyścigów, gdyż otrzymywaliśmy od MTZ całe sezonowe programy wszystkich biegów, oraz codzienne biuletyny z dokładnymi danymi. Wyścigi odbywały się dwa razy w tygodniu, oprócz niedzieli. Oczywiście Kreczmer jak i inni zajmował się typowaniem koni. W dniu wyścigowe wychodziliśmy o godzinę wcześniej z biura. Kreczmer prosił mnie abym stale z nim jeździł i wracał. Woźny zamawiał taksówkę i jechaliśmy na Persenkówkę, gdzie był wspaniały tor wyścigowy. Po drodze Kreczmer, u którego rodziło się zwątpienie co do słuszności typowań koni, zaczynał kombinować jak stawiać posługując się numerem taksówki, lub prosząc mnie bym podał jakiś numer. Przegrywał stale, ale poza wódką i papierosami była to jego jedyna przyjemność.

Jeśli mowa o wyścigach, wymyśliłem w końcu system grania, który i dzisiaj uważam za jedyny. System ten w zasadzie eliminuje sytuacje, których nie da się przewidzieć, jak pogoda, stan toru, knowania dżokejów, usposobienie konia i.t.p. Przy stawce 10-ci złotowej trzeba mieć fundusz około 500 zł. W sezonie wiosennym i jesiennym było około 500 biegów. Każdy koń był zaliczany do różnych kategorii. Zależnie od wieku i wygranych nagród. Wyszedłem z założenia, że każdy koń w sezonie biega do 6-ściu razy i w zasadzie jakiś bieg wygrywa. Wybierałem więc kilka koni średniej klasy i zaczynałem je grać. Gdy przegrywał następnym razem podwajałem stawkę. Gdy koń wygrywał wykreślałem go z

mojej kombinacji i w jego miejsce wprowadzałem konia, który jeszcze nie wygrał żadnej nagrody. Tak grałem klacz o nazwie "Petarda". Śmiano się ze mnie bo klacz ta w czasie biegu dostawała krwotoku i oczywiście nie wygrywała. Konia tego grałem już za 10, 20, 40 i 80 zł ale bezskutecznie. Gdzieś z początkiem lipca "Petarda" miała biegać po raz 5-ty, a w myśl mojego systemu miałem na nią postawić 160 zł – co na ówczesne czasy było znaczną kwotą. Jednakże musiałem w tym dniu wyjechać, więc prosiłem kuzyna mojej żony Dzinka Romaszkaną, który także chodził stale na wyścigi, by zagrał dla mnie, zostawiając mu 160 zł. Dzinek uspokoił mnie, że na pewno będzie i zagra. Na drugi dzień po wyścigach przeczytałem w gazecie, że "Petarda" wygrała i płaci za 10 zł kwotę 560 zł. Obliczyłem, że otrzymam 8960 zł. Po moim powrocie do Lwowa, Dzinek oświadczył mi, że dowiedziawszy się, że "Petarda" miewa krwotoki nie zagrał na nią i zwrócił 160 zł. Nie wiem czy nie zabawił się w bukmachera, w każdym razie nie było to załatwienie solidne.

W TKZ zjawił się cywilny sowiet przedstawiciel Gosudarstwiennego Banku celem likwidacji i przejęcia majątku. Ubrany w tuzinkowe ubranie i charakterystyczne kaszkietko, wyglądał na trochę oszołomionego tym co widział, tym nie mniej robił gęstą minę jakby to wszystko było naturalne i dobrze mu znane. Oczarował go nasz portier Zmłócek, starszy wąsaty i bardzo godnie wyglądający. Był zawsze ubrany w długą czamare, w dniu uroczyste przepasany przez pierś białą – czerwoną szarfą, trzymał w ręce potężną złożoną halabardę. Nowy komisarz, gdy go Zmłócek zaprowadził do windy – nie wytrzymał nerwowo i kazał się kilkakrotnie wozić do góry i na dół. Dopiero po kilkunastu dniach znudził się tą zabawą.

W skarbcu TKZ, oprócz własnego majątku, były złożone liczne, wartościowe depozyty osób prywatnych. Przewidując wojnę wiele osób wolało złożyć kosztowności w banku niż trzymać je w domu. Nasz dyrektor Ludwik Dunin hr. Sulgoławski oświadczył komisarzowi, że wobec likwidacji musi zatrudnić nadal pracowników by sporządzić odpowiednie spisy. Zatem do końca grudnia byłem pracownikiem TKZ.